

przypuszczał, że właśnie w tym dniu obchodziła swoje 75-te urodziny. Pomimo bardzo wielu zajęć i spotkań związanych z uroczystym obchodem dnia, znalazła czas, aby i ze mną porozmawiać, za co jestem Jej bardzo wdzięczna.

\*\*\*

Na jubileuszowej uroczystości w Spręcowie miałam szczęście i honor spotkać niezwykle gościa s. Krynę – „Afrzykanę” p. Marię Gabiniewicz – była pracownicą Episkopatu Polski u boku Wielkiego Prymasa Tysiąclecia kardynała Stefana Wyszyńskiego, a obecnie poświęconą pracy w wielkim dziele księdza profesora Zdzisława Peszkowskiego – Kapelana Rodzin Katyńskich i Golgoty Wschodu. Pani Maria swoją ośmioletnią tułaczkę po wywózce z Kresów Wschodnich przez Syberię, Kazachstan, Uzbekistan, Turkmenię, Persję, Indie i Afrykę i tutaj pobyt w osiedlu Bwana M'Kubwa w Północnej Rodezji (Zambia) i wreszcie powrót do Kra-

ju, spotkanie z Prymasem Tysiąclecia i pracę u jego boku opisuje w swojej książce „W stronę domu ojczystego”. Do napisania wspomnień skłoniła ją wypowiedź wielkiego Prymasa, który wysłuchawszy jej opowiadań powiedział: „A teraz to wszystko napisz, bo to historia nie tylko twojej Rodziny, ale tysięcy Polaków”. Ta książka to jak cenne perły w dzisiejszym świecie. Jak dobrze, że żyją ludzie, którzy ocalają tamte fakty od zapomnienia. Nie dajmy się więc zwariować, kiedy nam zarzucają fanatyzm, nacjonalizm, nienawiść, ksenofobię, antysemityzm, ciemnogród i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze tylko dlatego, że **pamiętamy**. Pamiętajmy i nazywajmy rzeczy po imieniu, bo nie można, tak jak to robią niektórzy współcześni politycy, nazywać systemu marksistowskiego fantazją – zbyt dużo krwi przelał ten system, aby fantazją mógł być nazwany, a pamięć jest potrzebna, aby poznawać zło systemów totalitarnych i aby młodzi wiedzieli, że zło nie jest wieczne, że się kończy, a „naród, który traci pamięć, traci życie”. □

Tadeusz Łodziana

## Państwowy Instytut Sztuk Plastycznych 1937-1943 (c.d.) we Lwowie. Wspomnienia

### Wojna i 17 września 1939 r.

1 września zbombardowano Skniłów, Dworzec Główny, kamienicę przy ul. Gródeckiej, w bezpośredniej okolicy Bogdanówki, gdzie mieszkaliśmy z rodzicami i bratem. Te pierwsze dni wojny przeżywało się bardzo emocjonalnie.

Natomiast apel pułkownika Umiastowskiego, nadany przez radio w dniu 9 września, aby młodzież wyszła z miasta i udała się na wschodnie tereny kraju, postawił przed nami iście hamletowskie pytanie – „iść czy nie iść”. Wyszliśmy z bratem i czterema kolegami (m.in. braćmi Wojnarami), a za transport służyły nam dwa rowery na tobołki podróżne.

Oplotkami, z dala od głównej szosy na Tarnopol, bombardowanej i zatłoczonej uciekinierami, szliśmy jak na wycieczkę. Na dalekich przedmieściach Tarnopola w dniu 17 września doszła do nas wiadomość o wkroczeniu Armii Czerwonej na teren Polski. Z miejsca, raczej intuicyjnie, zrobiliśmy w tył zwrot i znajomymi nam śladami wracaliśmy do Lwowa. Żywność nam się kończyła, za 5 zł kupiłem ugotowaną gęś, chleba nie było, do termosów wlailiśmy wodę i w drogę. Na drugi dzień, gdy mijaliśmy jakąś wieś, zajechał nam drogę zwiad Kozaków na koniach, a od wsi nadciągnęli wiejscy chłopcy. Byliśmy okrażeni, sytuacja bez wyjścia. Na pytanie Kozaka: „a wy kto?” – chłopaki, wyszarpując nam rowery powiedzieli: „eto polskie pany studenty”. Na ten robót w biały dzień Kozacy nie zareagowali. Chłopaki na rowerach odjechali. Na okrzyk: „dawaj czasy!” oddaliśmy zegarki; Kozacy puścili nas wolno. W takiej sytuacji nie mieliśmy żadnych szans, nie komentowaliśmy tego zajścia, każdy myślał swoje. Dopiero po powrocie, w parę tygodni później, dowiedzieliśmy się, że w Tarnopolu NKWD internowało naszą, zgromadzoną tam na

apel płk. Umiastowskiego, młodzież i wywiozło na wschód. Chyba mieliśmy szczęście, być może zegarkami okupiliśmy naszą wolność.

Dobrnęliśmy na folwark pod Winnikami, gdzie koczowało nasze rozbrojone wojsko i mnóstwo cywilów, pilnowani przez żołdaków z karabinami na sznurku i w czarnych owijaczach na nogach. Nic do jedzenia, nawet drobiu, wybitego przez naszych żołnierzy, dobrze zaprawionych w ciężkich warunkach wojennych, egzystujących sprawniej niż my, cywile. Pod gołym niebem, w kurzu, na gołej ziemi, bardzo głodni i brudni, w ten, na szczęście bezdeszczowy upalny wrzesień, czekaliśmy trzy dni na efekt targów o Lwów między sojusznikami paktu Ribbentrop-Mołotow.

Nie pamiętam już, czy 23 czy 24 września puszczo-no nas, cywili, do domów. Widok ulicy Łyczakowskiej utrwalił mi się na zawsze. Na chodnikach leżały już posegregowane sterty rozmaitego sprzętu naszego wojska, głównie uprzęży końskiej i siodła. Tego całego majdanu pilnował żołdak z karabinem na sznurku. Dopelnieniem obrazu była kolumna młodocianych kadetów idąca do niewoli, konwojowana pod bagnietami przez żołdaków, a płaczące kobiety nie bacząc na krzyki: „nie-lzja, ubijuj!”, podawały tym biedakom kawałki chleba.

W milczeniu szliśmy przez całe miasto na Bogdanówkę, ulicami pełnymi śmieci i szkła, mijaliśmy otwarte, splądrowane sklepy i stojące tramwaje. Przewalały się tłumy rozbieganych i zdenerwowanych ludzi, a ulicami szła śpiewając zbita w kolumny Czerwona Armia. Twarze żołdaków azjatyckie, płaskie o lekko skośnych oczach, wystających policzkach, w parcianych pasach, waniało od nich dziegciem, charakterystycznym ostrym zapachem. Obraz deprymujący, uświadamiający naszą klęskę i niewolę.